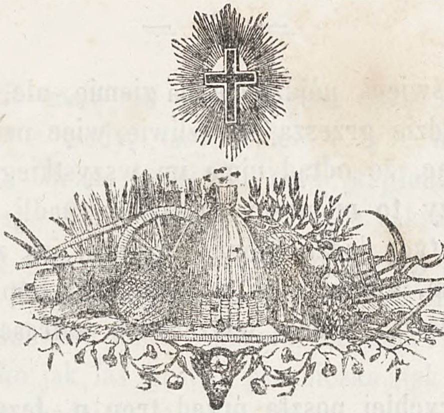
Tom V. Nr. 1.

1. Lipca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sprawiedliwość boża.

Słodki nasz pan Jezus ma wielu Aniołów na swoje usługi; więc gdy chce ludziom oznajmić wesołą lub smutną nowinę, to wyznacza Aniołów jako posłów, i daje im rozkaz, aby szli na ziemię i ludziom wolę Jego objawiali.

Owóż raz trafiło się, że się ludzie bardzo rozbrykali: chlebuś święty poniewierali, zmiatając okruszynki na ziemię i depcąc po nich; u niejednego gospodarza walały się kawałki chleba w komorze po ziemi i kwitły, a dla dziada nie było jałmużny, bo się gospodarzowi nie chciało pójść do komory, bo jako syty nie wierzył głodnemu. Tak też i wszyscy ludzie nie wiedzieli już zgoła co robić z chlebusiem; marnowali go, przepijali, i nawet bydlętom do żłobu kładli, i nikt ani myślał iść na zarobek do dworu, do księdza, lub drugiego gospodarza!

Tak to zwykle wydziwiają ludziska, gdy skrzynia i kaleta pełna; a pan Jezus jako jest miłosiernym, tak też i sprawiedliwym być umie. Więc gdy już dużo tego złego było na ziemi a pan Jezus nie mógł się doczekać poprawy, zwołał swoich Aniołów, i tak do nich rzecze;

— Anieli święci, pójdziecie na ziemię, ale z bardzo smutną nowiną! Oto ludzie grzeszą straszliwie, więc oznajmicie im karę moją, powiadając, że odtąd ujmę im wszystkiego! —

Usłyszawszy to niebiescy posłańcy padli na oblicze i zapłakali; im żal tych ludzi, którzy grzeszą, jak znowu cieszą się nad grzesznikiem, który czyni pokutę. I tak zapłakani opuszczali niebo, a Najświętsza Panna widząc ich zafrasowała się mocno ludzką niedolą.

Jakoż co rychlej poszła przed tron p. Jezusa, i prosiła za grzesznemi ludźmi mówiąc:

— Przecież tam nie wszyscy są źli, i nie wszyscy też bogaci; są tam może i miękkiego serca ludzie i biedacy, którzy by nie śmieli deptać chlebusia i tak go marnować! Przecież tam musi ktoś także zarabiać i pracować! Zmiłuj się mój Synaczku nad temi przynajmniej!

A pan Jezus miłosierny rzecze do Najświętszej Panny:

— Idź matko z temi Aniołami na ziemię i szukaj tam dobrych ludzi, a jeźli są tacy, to ich kara moja minie.

Uradowana tem Najświętsza Panna zeszła z nieba na ziemię za Aniołami bożemi i tak mówiła:

— Święci Anieli! prowadźcie mię do chałup, gdzie są dobrzy i pobożni ludzie; ja tam chcę zostawić błogosławieństwo moje.

A Aniołowie schylili głowy ku ziemi i z płaczem odpowiedzieli:

— Nie ma teraz ludzi dobrych i pobożnych! Mają oni książki do nabożeństwa i modlą się, ale nie mają serca; stawiają figury i kapliczki, robią czasem ofiary do domu bożego, ale to na to, aby ich drudzy widzieli i o tem głośno gadali; schodzą się do kościoła, ale się kłócą, gniewają, cyganią, i brat brata zabija.

A Najświętsza Panna rzecze:

— Wszakże tym ludziom nic nie brakuje, jak widzę mają wszystkiego nadto. O, gdyby byli lepszemi, jakżebym ja się tem cieszyła i mój Syn w niebie!

A święci Anieli zapłakani mówili sobie:

— Ci ludzie mają od pana Jezusa taką ziemię, zdrowe powietrze, zdrowe wody, lasy, chleb i tyle bogactwa w tej ziemi, mają takie śliczne kościoły, mają kapłanów, mają naukę z nieba od samego Syna Bożego i święte sakramenta: a przecież nie słuchają pana Jezusa i robią tyle złego!

I naonczas Najświętsza Panna, kiedy już nie można było znaleść na wsi dobrych ludzi, kazała się zaprowadzić na pole. A tam było żytko jak las gęste, pszeniczka jak łozina wysoka, a owsik stał jak kądziele, i były kłosy jak kukiełki żółte, a ziarnek byś nie przeliczył i za sto lat na jednej chłopskiej roli. W ogrodach kwitły kartofle, kapusta składała się na głowy jak dzbanki, a jabłonie, gruszki i śliwki aż się gięły ku ziemi pod sadowiną. Anieli święci ciągle płakali, a Najświętsza Panna pytała ich:

— Czegóż płaczecie! Na ten rok wystarczy tym ludziom, a my, jak wrócimy do nieba, to będziemy wszyscy prosić pana Jezusa miłosiernego, aby zmienił karę dla tych ludzi.

Na to rzeką Anieli:

— My kochamy i złych ludzi, choć z daleka od nich stoimy, abyśmy naszej niebieskiej sukienki nie zwalali; my się modlimy i za nich, i już prosiliśmy Pana Jezusa od kilku lat, i czekał Synaczek Twój niebieski poprawy, ale teraz skoro my tu na ziemię posłani, już musimy rozkaz boży ogłosić i kara nastąpi.

A Panna Najświętsza mówiła:

— Ano, prośmy jeszcze tu na ziemi za temi grzesznikami!

Wtedy razem Aniołowie uklękli i zawołali:

— Boże, daruj tym grzesznym! A jeźli Twój wyrok spadnie, to choć połowę kary daruj tym ludziom!

I w tej chwili jękła ziemia i zahuczało coś na niebie. Ludzie słyszeli to i potruchleli, a owóż odtąd zaczęły gnić ziemniaki na polu, i nikt ich już ani połowy nie zbiera. I nie mają odtąd ludzie ani połowy tego bydełka, co dawniej bywało, bo zawsze im pan Jezus zabiera potrosze. Odtąd nie mają ludzie majątków, i nie mogą się dorobić, chociaż i pańszczyzna ustała; odtąd bywają pomorki, cholera i inne słabości, i dużo wszelakiej biedy zagościło na ziemię od onego czasu.

Płacząc wrócili Anieli i Najświętsza Panna do nieba, a z ich łez padał deszczyk na naszą ziemię; lecz pan Jezus sprawiedliwy zamieniał te łzy na grad dla złych, a na rosę dla poprawionych. A na tem miejscu, gdzie Matka święta i Aniołowie klęczeli i modlili się, tam wytrysnęła cudowna studzienka. W tej wodzie myją się różni ludzie, ale złym i niepoprawionym nic ta cudowna woda nie pomoże: ani ich domu nie uchroni od złego, ani spokoju im nie da, ani chleba nie przysporzy, ani nie da urodzaju, choćby nią całe pole swoje pokropili — zaś dobrym, pobożnym i poprawionym, to ona pomaga i daje błogosławieństwo.

I proszą Anieli dotąd za nami w Niebie, prosi tam i Najświętsza Panna, aby nam pan Jezus podarował winy i wrócił dawne dobre czasy: ale widać Syn Boży sprawiedliwy nic nie zmienia, jeno czeka naszej poprawy. Czeka, abyśmy się już nie gniewali jeden na drugiego, ani pan na chłopa, ani chłop na pana czy na księdza; czeka, abyśmy jeden drugiemu wierzyli, i pan chłopom, i chłopi księdzu i panom; czeka, abyśmy się kochali wspólnie, tak, jak nas kochają Anieli i Najświętsza Panna i święci nasi Patronowie i sam on Jezus słodki i miłosierny.

Ks. Wojciech z Medyki.

Śpiewka pastuszki.

Hej woły, hej krase woly moje,
Paście się, paście razem po zielonej górze;
Słoneczko, hej słoneczko ty moje,
Nie budź mię, kiedy oczka, czarne oczka zmrużę.
Wiater lasem powiewa,
Trawa słodko wonieje,
Niebo śpiewem rozbrzmiewa
I do ptaszków się śmieje —
A mnie senność tuli czarne oczy,
Tuli czarne oczy.

Zasnęła, hej uspiły ją zioła;
Sen złoty, złota jej się przyśniła obrączka,
I wieniec z rutki złotej do koła,
I czyjaś miła rączka, Jasia miła rączka.
Ciepło idzie po twarzy,
Usta śmieją się we śnie,
A serduszko coś marzy
I pukněło zawcześnie —
Puknęło, i zbudziło niebogę,
Zbudziło niebogę.

— Hej woły, hej gdzieście woły moje! —
I rączką czarne oczka, hej oczka przeciera;
— Słoneczko, hej gdzieżeś słonko moje! —
A złote słonko z boku, hej z boku poziera.
— Idę woły za wami,
Darmo rzucam oczyma,
Wyszedł miesiąc z gwiazdami,
A was nie ma i nie ma —
Zapłakała, a Jaś woły prowadzi,
Jaś woły prowadzi!

Grześ z Mogiły.

Nieszczęsne spotkanie.

Niejeden z was moi bracia co to czytać będziecie, trudnił się furmanką, a wszyscy pewnie znacie dobrze furmanów i wiecie, jakich się oni brzydkich spraw często dopuszczają. Furman z profesji jeździ po wódkę, po wino, żelazo i inne towary; sąsiedzi powiadają o nim że się ma dobrze i chwalą go, aleć to najczęściej dlatego że sami furmanią, z wielkiego niby rozumu jeżdżąc ciągle po świecie, i mając do czynienia z różnymi ludźmi.

Aleć ja stary, niedzisiejszy, słyszałem już niejedno o furmanach i ich brzydkich sprawkach, i wiem, że nie najlepiej wychodzą oni z tym swoim rozumem. Na nich to daje pan Bóg ludziom najczęściej żywą naukę, jakto cudzą krzywdą nie zbogaci się człek nigdy, ale zawsze traci wszystko to co nabył ze szkodą bliźniego, a często też i na własnem szkoduje.

Stać cię na to, dlaczego nie, możesz furmanić, możesz zarabiać uczciwie na chleb, a jak ci pan Jezus poszczęści, toć i uskładasz jakiś grosz z tej furmanki. Lecz powiadam: uczciwie, a nie oszukanym sposobem i z krzywdą bliźniego. A moi ludzie, nieraz to bywa z krzywdą bliźniego, boć wiecie, jak to postępują sobie ci furmani co jeżdżą z winem lub wódką, jakto oszukują, fałszują, rozpijają się, a często gęsto wszystko co mają, tracą. Bywa tam że furman naciągnie wina lub wódki w drodze, sam pije, drugich częstuje, a resztę sprzedaje napół darmo, albo przywozi do domu. O, wtenczas kto nie chce to pije, i sprasza sąsiadów, kumoszki i kumotrów. A są ci też takie wsie gdzie każdy prawie furmani i każdy kradnie, a potem wszyscy piją. I wtedy to patrzcie bracia: cała wieś niby jedna karczma, niby jeden szynk! — Otóż przy takich furmankach trafiają się nieraz różne dziwne wypadki. Bywa czasem że furman z domu dwoma końmi ruszy a o jednym wraca, bo mu kupiec wziął drugiego za skradziony towar. Nieraz spitemu chudobę ukradną, albo cały zarobek z trzosa, że potem zamiast zyskać to dokładać musi. Lecz cóż tam, stracić wóz, albo konie, albo też kilkanaście lub kilkadziesiąt reńskich; prawda, że szkoda; ale tracić człowieka, to już rzecz inna, bo cóż to droższego nad nasze zdrowie i życie? A owo przecież słyszałem od ludzi, jako przy takiej furmańskiej sprawce i człowiek życie stracił!

Posłuchajcież łaskawie, to powtórzę wam jak to było.

Szedł z Tarnowa do domu chłopak młody, chwacki, urlopnik, a do tego ułan; a szedł raźno jakgdyby go co gnało. Oj, gnała go miłość matki, onej wsi i onej strzechy pod którą się urodził, boć to mówią przecie: wszędzie dobrze a doma najlepiej. Spieszyło mu się; chciał on jak najprędzej ujrzeć swą matulę, której siedm lat nie widział, swoich krewnych i jeszcze kogoś, ot co wam nie trzeba i mówić, a pewnie się domyślicie. Pędziła go też i radość, boć przez siedm lat jeździł on z piką i z pałaszem, i codzień wedle konia i wedle siebie nie mało miał pracy żeby się pokazać jak kazano — a teraz puścili go na wolność, i pozwolili mu iść i robić co mu się podoba. Przez siedm lat pędzili go razem z wojskiem po różnych stronach, z jednego kąta do drugiego, a teraz pozwolili mu usiąść na

wsi spokojnie! Więc mogła też owa miłość i radość przyspasarzać mu drogi.

Jakoż idzie, idzie, i choć już pięć mil upalił jak z bicza trzasł, jednak mu zawsze jakoś lekko i dobrze, i wesół jak dziecko.

Jeszcze miał z ćwierć mili do onej wsi, do której zdążał; przeszedł już ostatnią górkę i zobaczył całe sioło, kościół, plebanią i dwór, i serce mu się poczęło radować. Spojrzy na dół i zobaczył fury — ot znajome bryki, pokryte szarem płótnem; coś ciężkiego znać wiezą, bo powoli idą, ale co w nich takiego? niewiele on na to zważa, jeno pospiesza naprzód wesoło. Podchodzi do onych bryk i widzi: obok idzie furman, młody parobek, idzie sobie i przygwizduje; więc nie odezwał się do niego Franek, ale idzie dalej, i przy drugiej bryce spotyka starego furmana, co sobie wolno postępował z tyłu za bryką.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — i uchylił nieco swojej ułańskiej czapeczki.

Aleć skoro tylko spojrzał na Franka on brykarz, odpowiadając mu prędko: — Na wieki wieków — takci zaraz się poznali, spojrzawszy na siebie. I nuż się witać.

— A jak się masz Franusiu, a toć przecie do nas wracasz, jużeśmy myśleli, że do nas nie powrócisz. — I dalejże się ściskać i całować od serca.

Teraz Franek począł się o różne rzeczy rozpytywać onego furmana, który był jak się domyślacie, z tej samej wsi, a nawet jego krewniak po matce:

— Co tam słychać we wsi? jak się matusia mają, czy zdrowi? — Bo że żyją, to o tem wiedział, gdyż pisywali do siebie, ale jakoś ku końcu już dawno nie miał listu od nich.

Już się zaczęło ściemniać; Maciej furman zwolna jechał a Frankowi spieszno, ale go Maciej zatrzymuje:

— Poczekaj Franusiu, niedaleko do karczmy, to staniemy, i napijemy się; jakoby to było, tak my się już długo nie widzieli! —

Franek dał się namówić; został i gadu, gadu, to o tem to o owem, dosyć, że nadciągnęli do karczmy, co stała przy drodze wielka i murowana.

— Chou! Chou! — Stanęli, i już się jakoś nie chciało dojechać do swojej chałupy, boć to Maciej mieszkał aż na końcu wsi, wedle młyna Łazarzowego.

Jak jeno stanęli, zaraz ci Maciej woła na żyda o wódkę, tylko o tę lepszą z anyżem; bo onby też chciał miłego Franka uraczyć. Żyd się raźno zawinął, przyniósł wódki, wypili oba po jednemu. Maciej dał i swojemu parobkowi, któremu potem kazał iść do chałupy, a sam dalej-że z Frankiem po drugim i trzecim półkwaterku, i tak się jakoś rozochocili, aż Franek na śmierć zapomniał, że to już niedaleko do matczynej chałupy — jeno tyle wiedział, że jest między swoimi.

Gdy tak piją i gadają, furman Maciej wstaje i rzeknie do Franka:

— Franuś, siedźno tu, ja cię czem lepszem poczęstuję! — I wyszedł stary do sieni, a że to było już dobrze ciemno, wlazł do wozu i nuż koło beczki majstrować. A był on nielada majster w tem swojem rzemiośle, że tak rzekę, złodziejskiem. Nasączył z kufy okowity do garnka, co stał w putni wiszącej u wozu, ale wstydził się iść do izby z tym garnkiem; zawołał więc Franka do siebie, i dalej-że żłopać tę wódkę, skoro ją trochę wodą rozchlapali. A że sobie byli dobrze podpili, takci już nie mieli wiele smaku w gębie, więc pili taką mocną jak przedtem, a nawet jeszcze mocniejszą. I tak z onej wielkiej radości tak się pobałamucili, że już ledwo na nogach stali; najbardziej zaś był ci Franek skuty, a przytem strasznie go coś paliło we wnętrznu.

I owóż po wielkiej radości bardzo smutno miało się skończyć to nieszczęsne spotkanie!

Franek chciał już wyruszyć do chałupy swojej matki, lecz nogi go nie chciały słuchać; więc też uszedłszy kilka kroków, padł niedaleko karczmy do rowu. Leżał tam jakąś chwilę spokojnie, lecz niezadługo, jak pocznie w onym rowie boruczeć nieprzymierzając jak niedźwiedź, to aż mrowie przechodziło, boć przytem rzucał się, targał koszulę na sobie i strasznie się zapienił. Okropnie ten człowiek wyglądał wonczas; aż nie miło było patrzeć, a tu nic nie ustaje ono borukanie; i jak gdyby w niego z dziesięć biesów wlazło, tak nim wciąż szamoce.

Kiedy Franek tak w tym rowie leży i jęczy, nadchodzi na szczęście gospodarz Bartłomiej. Usłyszawszy takie boruczenie w rowie, stanął, słucha, myśli sobie: — Ot pijaczyna jakiś — a jako był człowiek miękki, z dobrem sercem, więc żal mu się zrobiło, że to jakiś człowiek leży, nieprzymierzając jak bydle w błocie, a do tego tak sobą rzuca i przyodziewę targa na sobie. Tak też nie wiele myśląc zawołał z pobliża drugiego i trzeciego gospodarza; zabrali się do niego, i wyciągli go z tej fosy na suchą drogę.

— Lecz cóż z nim zrobić? Trzeba go zanieść do karczmy — mówią między sobą gospodarze. Jakoż przynieśli go do izby do karczmy, i położyli na ławie.

Mówi jeden: — To jakiś urlopnik.

Drugi: — A juści urlopnik, i jeszcze ułan. Trzebaby go czem obetrzeć, bo strasznie skalany na gębie.

Wyjmuje Stanisław jakąś chuścinę z zanadrza, a obtarłszy mu twarz krzyknie:

— Patrzcieno! czyto nie Franek Skiba?

Przypatrują mu się tamci i mówią:

— A prawda, Franek, a cóż on tu robi? a gdzie on się tak spił? — Było jeszcze kilkoro ludzi w karczmie, parobków i chłopaków, więc Szymon gospodarz mówi do parobków:

— Zanieście go do matki! Jeden i drugi się upiera, żeć to powalany, a do tego tak sobą rzuca; ale Bartłomiej, którego we wsi się i bano, bo był podwójcim, kazał, więc go trzech parobków wzięło i zanieśli do chałupy do matki, a Bartłomiej poszedł za niemi — reszta zaś porozchodziła się do domu.

Skoro go przynieśli do chałupy Frankowej matki, tak tu dopiero opowiedział Bartłomiej matce jego, gdzie go znaleźli.

Nieszczęśliwa matka rzuciła się na niego, i jęła go całować z wielkim płaczem i krzykiem. Ale Franek nie przywitał matki, boć leżał jak bez duszy — tylko czasami rzucał się, pieniąc się przytem strasznie.

— Ratunku, ratunku! — poczęła wołać Skibina. — Oj cóż ja też pocznę, moj Franuś najukochańszy! — I tak już biedne babsko zawodziło, iż się zgoła zdawało, że skończy od wielkiego żalu.

Na on krzyk Skibiny zeszło się znowu kilkoro ludzi, i jakto na wsi, jeden to drugi owo rai. — Mówią że się w nim zapaliło, to najlepiej dać mu ciepłego mleka — prosto od krowy.

Dobrzy ludziska chcieli pomódz biednej kobiecinie, i niezadługo przynieśli prosto wydojonego mleka, i poczęli mu wlewać w gardło. Czasami zdawało się, że Franek przychodzi do siebie, aleć wnet zaczynał znowu okropnie jęczeć i rękami i nogami machać, a strasznie się przytem pienił.

I takci to trwało dość długo, późno w noc. Mleko nic nie pomagało. Ludzie się porozchodzili, ucichło też nieco to borukanie Frankowe, tylko biedna Skibina zawodzi a zawodzi i tłucze głową od wielkiego żalu. Poczciwy Bartłomiej nie opuszczał biednej wdowy, choć już wszyscy się porozchodzili, ale czuwał i co mógł to jeszcze robił — lecz w końcu i on usiadł na ławie, gdy się Franek uciszył.

Po chwili wstaje Bartłomiej, idzie zwolna ku Frankowi, przysuwa się, słucha: ucichł, ale nawet już nie słychać żeby oddychał. Poczciwy Bartłomiej stanął, gdyby wryty na miejscu, ognie na niego wystąpiły, żal mu wielki ścisnął serce i łzy stanęły w oczach i mimowolnie wykrzyknął:

— Już po nim! —

Ale tak strasznie jęknął, że i biedna Skibina, która się zdrzemnęła na nalepie, zawołała zrywając się jak szalona:

— Franuś, moje drogie dziecko! —

A Bartłomiej dokończył: — Już nie żyje! —

Strapiona i już od zmysłów odchodząca Skibina, rzuciła się na zimne ciało syna swego; poczęła nim trząść, chciała go do życia przyprowadzić, lecz Bartłomiej rzecze jej:

— Przestańcie matko, już go nie wskrzesicie!

Moi ludzie! co się w onej chwili okropnej działo w izbinie, ja stary, niewymowny, wypowiedzieć tego nie mogę; nie mam słów, bym mógł tak wystawić to, co cierpiała matka, i co z sobą biedna robiła. Trzeba to było wam samym być świadkami tych okropności, tego ogromnego nieszczęścia!

Dopiero co chłopak młody, dorodny, zdrowy, pomoc i nadzieja cała przyszła starej, biednej matki, — a teraz oto samochcąc zimny trup na łożu! Działo się to w dzień sobotny; w niedzielę

z południa zanieśli ciało jego do kostnicy, a na trzeci dzień na wieczny odpoczynek. Jedni żałowali i kiwali głowami, mówiąc: — Szkoda go. — Drudzy milcząco, z oczami w dół spuszczonemi postępowali za trumną.

Pomyślcie sobie teraz sami, co za zbrodnię popełnił ten furman! Najprzód złodziej, bo brał cudzą rzecz; dalej pijak, boć się sam upił jak niecźłowiek i drugich spoił; a w końcu zabójca człowieka młodego i starej kobiety, która niedługo potem już żyła, straciwszy syna jedynego.

Oj kiedyż to moi bracia nie będzie takich zbrodni na świecie!? Kiedyż to tylko na uczciwy zarobek będziecie się ludzie oglądać, nie na żadne oszukaństwo; kiedyż to sprawiedliwa praca zasiędzie po chatach ludzkich, jako prawdziwa przyjaciółka i opiekunka?!

Kto tylko jednego złego się dopuści, za tym powlecze się zaraz sto innych grzechów, jak-by straszliwy ogon jadowitej zmyji. Mały grzech, mała krzywda na pozór, zaprowadzi cię często człeku tam, gdzie już niepowrota do cnoty i do szczęśliwości niebieskiej. A ileż to jeszcze między nami grzechów, nałogów, zdrad i oszukaństw! Daleko nam jeszcze do tego byśmy mieli sumienie czyste w obec Boga, nie zmącone żadnym brudem, jeno przejrzyste jak źródło górskiej krynicznej wody! A kiedyż to stanie się ta poprawa między ludźmi? O, moi bracia, nie widzę ja teraz tej poprawy dużo, i słusznie, jeśli nas Pan Bóg coraz sroższemi karami dotykać będzie, bo z dnia na dzień coraz bardziej zasługujemy na to.

Ja, wasz brat, płacząc życzę wam z całego serca wszystkiego dobrego, i dla pomiarkowania się piszę wam te słowa. Wy zaś nie gniewajcie się, bo kto komu dobrze życzy, to mu prawdę mówi. Panu Bogu was oddaję.

Szymon Bruzda.

Jakie to były wsie naszych pradziadów.

Bóg jeden raczy wiedzieć, jak też dawne są wsie na naszej polskiej ziemi; wybudowali je nasi praojcowie przed wieki, a niejedna wieś pamięta jeszcze te czasy, kiedy przodkowie nasi czcili bożków pogańskich, kiedy jeszcze nie znali światła wiary chrześcijańskiej.

Gdzie dzisiaj wieś leży, tam były przed wieki pustki, stepy, ciemne lasy, błota, puszcze, a w nich zwierz gruby: łosie, żubry, tury, niedźwiedzie, rysie, dziki, wilki, bobry. Narodu było mało. Kiedy się zebrała gromadka ludzi, to wyszukała sobie najdogodniejsze miejsce dla siebie i bydła, wybudowała sobie chaty nad wodą przy dolinie, i w zaciszy pod lasem. Kilkanaście chatek stanowiły osadę, czyli wieś. W koło doliny nad łąką wybudowali z czasem praojcowie nasi więcej takich chatek drewnianych, pokrytych strzechą ze słomy. Budowali się dlatego nad rzeką albo strugą, żeby mieli wodę dla siebie i bydła, a w dolinie, żeby bydło miało trawę, a pszczoły kwiaty na łąkach. Od ciężkich zamieci śnieżnych, srogich wiatrów i słoty, zasłaniały ich bliskie lasy, rosochate dęby, stare lipy i olchy. Na tych drzewach gnieździły się bociany, co były jakoby stróżami wsi.

Żeby się zabezpieczyć od okrutnego zwierza i od napaści nieprzyjaciół, zwykle mieszkańcy okopywali osadę swą wałami i groblami. Bywało wtenczas morowe powietrze, więc trafiało się nieraz że cała osada wymarła. Zaś wierzyli przodkowie nasi w tych pogańskich czasach, że się uchronią od morowej zarazy kiedy każą dwom braciom bliźniętom we dwa woły bliźniaki oborać całą osadę. To oboranie znaczyło granicę wsi.

Owóż taką wsią rządzili starsi wiekiem z gromady i doświadczeni; schodzili się oni razem i radzili, kiedy była jaka potrzeba. Starcy też sądzili sprawy między pojedyńczymi mieszkańcami. Jeżeli do takiej osady przyszedł gość podróżny, to każdy gościnnie do siebie go zapraszał, bo mawiali nasi pradziadkowie: — Gość w dom, Bóg w dom. Częstowali go chlebem, solą i dobrą wolą; wystawiali mu mięsiwo i miód i mówili:

— Tem rada chata, czem jest bogata; albo też mówili: — Pożywajcie gościu co Bóg dał.

Najstarszego we wsi nazywali *hospodynem*, to jak gospodarzem czyli panem. W roli razem wszyscy pracowali; zbiórką też wszyscy się dzielili po równości. Wszyscy nazywali się kmieciami albo kmiotkami. Kiedy wróg wpadł do kraju i zasiew w polu niszczył, bydło zabierał, wsie palił, ludzi mordował: wtedy każdy co miał zdrowe ręce, chwytał kawałek żelaza lub pałkę, i biegł na wojnę. Ażeby zaś drugim dać znak, że wróg nadciąga, zapalali ustawione na wzgórzach wiechy na wysokich żerdziach, co się wiecami nazywały.

Z takich to starodawnych osad powstały wsie nasze. Lecz osad tych nie było jeszcze i tyle, ile dziś jest wsi. Każda osada, jakby pustkowie, stała gdzieś tam między lasami i polami, ukryta była jak ptasze gniazdo w krzewinie. Dróg tam w owe czasy nie było od wsi do wsi; ludzie kierowali się w dzień według słońca, a w nocy po gwiazdach. Po słońcu i po gwiazdach miarkowali kiedy południe a kiedy północ; znali na niebie baby, furmany, kośniki i inne gwiazdy.

Dużo to od tych stareńkich czasów zmieniło się po wsiach, aleć dużo też i zostało w zwyczajach ludzkich, bo trudno człowiekowi odwykać od tego, do czego go z młodu ojcowie wprawili. Zmienić musiało się dużo, boć i czasy się zmieniły; a jak byś ty człowieku na czasy nie dbał i nie postępował według nich w rozumie i pracy: tobyś był jak on pień drzewa na polu do ziemi wrosły, co się nie posuwa czy posucha czy też woda, zaco też w końcu i zgnić mu przychodzi.

Gościnność, sprawiedliwość i miłość naszych ojców, tośmy powinni jak drogie skarby trzymać w sercu naszem! I miłość tej wsi i tej ziemi powinna nam być najświętszem przykazaniem. Każdy też człowiek dobry i w bojaźni bożej wychowany, kocha swą i swych ojców siedzibę, i tęskni do niej, kiedy się mu oddalić przyjdzie. Wszystko mu we wsi rodzinniej najznajomsze i najmilsze. Miły mu rodzinny kościół drewniany, co w nim ojcowie, wszyscy znajomi i on sam się z nimi modli; miłe mu rodzinne drzewa na cmentarzu: stare lipy, dęby, kasztany i wierzby; miły mu rodzinny dzwonek na wieży co zwołuje ludzi w święto

na nabożeństwo a pod wieczór na modlitwę wzywa, i na pogrzeb dzwoni.

We wsi rodzinnej, jako w puściźnie dziadków naszych, wszystko nam drogie, wszystko od dzieciństwa znane i kochane.

To też i siwemu staruszkowi najmilej we wsi rodzinnej; tu a nie gdzieindziej oczy zamknąć i kości złożyć pragnie, bo tu także spoczywają prochy ojca, dziada i pradziada jego. —

Kara boża.

Byłem ci ja raz na sądach w kryminale: a mieli sądzić jakiegoś zbójcę. Mnóstwo się zeszło ludu, jak zwykle ciekawego patrzeć na cudze nieszczęście: a za zielonym stołem siedziało pięciu sędziów cesarskich. Najstarszy sędzia dał znak woźnemu, aby przyprowadził winowajcę. Cicho się zrobiło, strach ogarnął wszystkich, myślano, że przyjdzie rabuś z okropną twarzą, z złośliwemi oczyma, jak to zwykle malują zbójów — a to wchodzi człowieczysko schylony pokornie, twarz miał bardzo uczciwą, a łzy mu z oczów jak groch leciały.

I był to człek prawdziwie uczciwy, miał poszanowanie w gromadzie i u księdza, i poczciwe dzieci Bogu na chwałę a ludziom na pożytek wychował — toć już lat 15 był starszym bratem przy ruskim kościele — nie dał by bydlęciu wyrządzić krzywdę, a jednak zabił człowieka, i to staruszka siwego! A jak się to stało, posłuchajcie.

Winowajcy było Mikołaj na imie, a miał on przy drodze koło pastwiska owies, w którym mu często robiło szkodę bydło. Gniewało to Mikołaja, bo to i owsiny żal, i szkodnika nigdy złapać nie mógł. Aż oto razu pewnego ujrzał krowę w owsie, pobiegł i zajął ją do siebie. A była ta krowina całym majątkiem biednej wdowy komornicy, co już od kilku tygodni jak zaniemogła, tak leżała chora w szopie. Mała córeczka wdowy pasła po miedzach krowinę, co karmiła oboje, bo zarabiać chora matka nie mogła. Otóż raz biedne dziewczątko zasnęło od głodu i niedospania, wypuściło powróz, a krowę zbyteczniki chłopcy zapędzili w Mikołaja owies. — Przystąpiło do Mikołaja, postanowił za wszystkie szkody pomścić się na komornicy. Sprowadzono wójta i ludzi do karczmy, aby oszacować szkodę, i jak to zwykle bywa, poczęto pić na biedną wdowę. Naprożno

przywlokła się ona choć słaba, do karczmy, i błagała Mikołaja, aby jej darował; dziewczątko jej nabito za nieuwagę, a za szkodę i za wódkę, którą w karczmie wypito, zabrali ostatnią kożuszynę, co się nią wdowa nakrywała, i żydowi sprzedali.

Jak już wdowa odeszła, zrobiło się żal Mikołajowi; to mu pan Bóg przemawiał do serca, aby się upamiętał — ale się Mikołaj jakoś dziwnie zaciął, i aby przygłuszyć sumienie, kazał dać wódki; ba kazali dać i inni, aż się popili w końcu, co się Mikołajowi prawie nigdy dotąd nie trafiło.

A siedział ci tam w karczmie w kątku przykucznąwszy staruszek, chromający na nogę, wielki sknera, choć był dość zamożnym kmieciem, a lubiał się napijać, ale tylko za cudze pieniądze, i dla tego nie lubieli go ludzie. Otóż i teraz wsunął się staruszek, i jak był złośliwy, tak począł Mikołajowi za krzywdę biednej komornicy wyrządzoną dojadać coraz mocniej, choć pił za pieniądze wdowy i Mikołaja. — Gniewało to Mikołaja tem więcej, że sam już czuł zgryzotę sumienia.

Staruszek podpiwszy sobie, byłby rad i pokurzyć, ale znów żałował swego tytoniu, choć go miał przy sobie. Więc pożądliwie poglądał na fajkę, którą Mikołaj nie dopalił i na stół położył, i przysuwając się do niej, wziął ją pod stół, wypróżnił, i swoją z niej nałożył. Spostrzegł to Mikołaj, złość go porwała okropna, aż ci pochwycił staruszka za głowę, i wyciągnąwszy z kąta, na ziemię nim rzucił — i zawołał do ludzi:

— Ano, obaczycie, że ten stary pies ma swój tytoń, a mnie fajkę wyskrobał!

Więc wszyscy będąc pijani, zapomniawszy, że Bóg i samo serce ludzkie nakazują starych szanować, przyskoczyli do staruszka nie mogącego się podnieść z ziemi — i jak poczęli go przestrząsać, aż i buty mu zdjęli, a z buta paczka tytoniu wypadła.

Gniew i wódka i jakiś dopust nieczysty zaślepiły Miikołaja, skoczył do starca, i bosą go nogą kopnął, aż się biedaczysko potoczył i głową o nogę u stołu uderzył. Krew się polała z głowy, z ust i nosa, charczał chwilę, przewrócił oczy — i już się nie ruszył więcej.

Wytrzeźwił się nagle Mikołaj, począł wołać ratunku, lał wodę, ratował, rwał sobie włosy — starzec był nieżywy. Więc nieszczęśliwy ryknął aż się ludzie przestraszyli, potem zapłakał, i dał się spokojnie związać — odwieziono go do kryminału.

Szanujcie ludzie biedne wdowy i sieroty, pomagajcie im, nie pijcie, a starość szanujcie! *R. z W.*

RÓŻNOŚCI.

Nowe plotki i ich skutki. Jak grzyby po deszczu, wyrastają teraz między ludźmi raz wraz jakieś nowiny, co najczęściej zmyślone, i zamącają tylko głowę uczciwemu człowiekowi. Bo i jakże nie ma zamącić głowy fałszywość i kłamstwo i złość co w onych plotkach zawsze się ukrywa?

Owóż rozniesło się teraz między niektóremi, że gromadzie zostały z urzędu darowane łąki, pastwiska i lasy. Ktoby to rozniósł, jużci trudno wiedzieć, ale to chyba sam czart kusiciel wysyła z piekła swoich kamratów, żeby ludzi takiemi fałszywemi plotkami do złego podwodzili. Jeno to szczęście, żeśmy już nie tacy głupi, jak się onym czartowskim pomocnikom zdaje. Wszyscy wiemy otem dobrze, że każdy człowiek ma coś swojego, **w ł a s n e g o**, czego mu żaden rząd i urząd na świecie bez przyczyny odebrać i drugiemu darować nie może, bo to jest jego **w ł a s n o ś ć**, bo on sobie to własnemi rękami zarobił, albo dostał po ojcach lub krewnych w spuściźnie. Gdzie więc łąki, pastwiska i lasy są **w ł a s n o ś c i ą** dziedzica wsi, dawnego pana, to jakże to może urząd gromadom darować? Kto tak mówi, ten jeno hańbi urząd i urzędników, bo oni chyba tylko kradzionym sposobem mogliby się takiej nieprawości dopuścić.

Nie potrzebuję wam też powtarzać, że to jest czysta plotka i wierutne łgarstwo. Pan sam, jeźli mu się zechce, może czy to lasu kawałek czy pastwiska gromadzie darować, bo **w ł a ś c i c i e l o w i** wolno robić ze swoją **w ł a s n o ś c i ą** co mu się tylko żywnie podoba; ale komu innemu zasię, jak kotu od sadła! A przecież trafiają się nierozsądni ludzie, co dają wiarę owym plotkom niesłychanym. Owóż piszą gazety, co się to z tej przyczyny stało we wsi *Łukawicach*, w obwodzie bocheńskim:

Właściciel tej wsi p. Jordan, posiada swoje pastwisko jako sprawiedliwą własność, co mu też i komisja rządowa przyznała. Atoli chłopi wypasali końmi ono pastwisko dworowi przyznane, a skoro o to pan Jordan skarzył, tak urząd powiatowy zakazał paść chłopom. Ależ dnia 11go zeszłego miesiąca Czerwca wypędzili chłopi znowu swe konie; więc też ekonom nie wiele myśląc zajął je i zaprowadził do dworu. I cóż źli chłopi nie robią! Zamiast prosić o wypuszczenie, napadli na stajnię, a odbiwszy drzwi, wyprowadzili sobie konie. Pan Jordan nie chciał się temu sprzeciwiać, bo by było do bitki przyszło, jeno stał na podwórcu i przypatrywał się; a wtedy chłopi — aż przykro człowiekowi wypowiedzieć — napadli na pana Jordana i jeszcze go zbili! Patrzcież co za gwałty śród białego dnia!

Przypomnieli sobie widać jak to przed czternastu laty, w roku 1846, rozbójnictwem się zabawiali, a zapomnieli znać jak ich potem pan Bóg karał, że kapali od głodu jak muchy!

Najbardziej przy tych gwałtach dokazywali: Józef Nosek, Andrzej Dyrdut i wójt nazwiskiem Mucha — sam wójt na czele! Niech ich nazwiska zostaną tu na hańbę wypisane. Całą noc potem piły owe zbójniki w karczmie, ale na drugi dzień odwieźli ich zaraz do urzędu w Wojniczu, gdzie ich nie minie zasłużona kara.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.